

Kurnik

20 marca 2024

Jest jasne, co robić, gdy trafisz między wrony. Musisz krakać jak i one. Co jednak, gdy znajdziesz się wśród kwok i kogutów? Analogia nakazywałaby w takiej sytuacji zacząć gdakać tak, jak robi to otaczający cię drób. Gdakać, grzebać w ziemi, a jeżeli tak się złoży, że kurnik ten jest miejscem twojego zatrudnienia, to także znosić złote jajka.



Wydaje się to proste i być może nawet takie jest. Dostosować się do realiów panujących w pomieszczeniu dla drobiu nie jest jednak wcale łatwo. I to z kilku powodów.

Mój pierwszy dzień w kurniku pamiętam bardzo wyraźnie. Półmrok rozświetlony tylko światłem jednej smutnej żarówki dyndającej na długim kablu. Jak w horrorze, kołyszące się źródło światła sprawiało, że cienie tańczyły na skleconych byle jak z desek ścianach. A mi ze strachu robiło się słabo. Wokół stały drewniane grzędy pod sam sufit, a na nich stłoczone, ściśnięte w rzędach kury nioski, kwoki i koguty robiły wielki rwetes. Gdy weszłam – zamilkły i nagle wszystkie łebki, w tym nawet rezydentek z najwyższych pięter, zwróciły się ku mnie. Pod ciężarem tych natarczywych spojrzeń poczułam się jak duża, tłusta gąsienica, która nie zdążyła jeszcze spisać testamentu.

W powietrzu unosiły się kurz i pierze. Pachniało słomą i mokrym drewnem.

Stałam tak krótką chwilę, przyglądając się temu i snując raczej pesymistyczne rozważania o realiach rynku pracy w rolnictwie. Po chwili zostały one jednak przerwane. Z jednej z górnych półek zgramoliła się zażywna brązowo-czarna kwoka. Wylądowała niezdarnie jakieś trzy centymetry ode mnie, omiatając skrzydłem moją twarz. To nagłe i niespodziewane skrócenie dystansu sprawiło, że instynktownie cofnęłam się dwa kroki.

– Boisz się? – zagdakała gromko, wesoło, a także prawdziwie.

– Nie, ja po prostu...

– Nie przejmuj się. My tu jesteśmy jak jedna włoska rodzina. Z Neapolu. Wiesz, to we Włoszech. Wszystko sobie mówimy i jesteśmy bardzo głośno – oświadczyła, jakby recytując formułkę, którą miała przygotowaną specjalnie na takie okazje, po czym, nie czekając na żadną reakcję z mojej strony, zaczęła monolog. Było w tym jej gdakaniu coś niesamowitego. Słowa płynęły jak rzeka i miało się wrażenie, że może tak bez końca aż do kresu dni.

– To teraz musisz wiedzieć, że my tu mamy bardzo dobrze. W dzień grzebiemy sobie na podwórzu. Wygrzewamy się w słoneczku. Lubisz słoneczko? No i mamy też poidło, w którym można się wykąpać. Ja kąpię się dwa razy dziennie. A ty? Zresztą wiesz, przede wszystkim to my tu mamy MASĘ PRACY. Wypowiadając ostatnie dwa słowa rozłożyła skrzydła w geście bezradności. Tak przynajmniej go odczytałam.

Jak się jednak wkrótce okazało, miałam nosa, bo bezradność była w tym miejscu słowem-kluczem. Uczuciem, które towarzyszyło, w różnym natężeniu i w różnych momentach tyrki w kurniku, wszystkim jego mieszkańcom.

Wprowadzająca mnie w kurze obowiązki gadatliwa kwoka miała na

imię Karola i była prawdziwą weteranką ptasich zmagañ z materią rzeczy. Mieszkała w kurniku „od zawsze”. Pamiętała wszystko i wiedziała wszystko. To znaczy: wszystko o wszystkich. Była swego rodzaju pamięcią kurnika. Jego narratorką. Kurą, która jako jedyna znała i opowiadała, wciąż od nowa, historię tego miejsca.

– My, kury, zajmujemy się tu reklamą. Pilnujemy, aby wizerunek gospodarstwa był zawsze przedstawiany w odpowiedni sposób. To bardzo odpowiedzialne zadanie. Dlatego nie można powierzać go byle komu – tu taksowała mnie wzrokiem tak, że nie wiedziałam doprawdy, jaki wyraz twarzy przybrać, by za byle kogo nie uchodzić. – To gospodarstwo ma renomę, bo jest najlepsze w całej okolicy. Wszyscy jesteśmy dumni, że należymy do tej rodziny. Wygłosivszy kolejny już w ciągu dziesięciu minut dyżurny tekst wgramoliła się z trudem z powrotem na swoją grzędę.

Nie wiedziałam ani co ze sobą zrobić, ani gdzie się udać. Żadnej z kur zajętych przegdakiwaniem się nawzajem, jak w jakimś transie, to jednak nie obchodziło. A ja nie miałam śmiałości spytać. Wyszłam więc na podwórze, by napić się wody z osławionego już przez Karolę poidła.

Stałam tam dłuższą chwilę, rozglądając się. Wokół było widać zabudowania gospodarskie. Oborę, chlew, dom gospodarza oraz poustawiane w nieładzie maszyny rolnicze. Rozrzutnik gnoju, ciągnik, glebogryzarkę. Choć wszystko było topowych marek, sprzęt, podobnie jak całe obejście, był zaniedbany. Jakby ktoś chciał zatrzymać czas. Wszystko było jak uwięzione w zamierzchłej przeszłości. Zamrożone. W jakiś sposób pozbawione troski. Zupełnie jakby sam fakt, że maszyny miały na obudowie logo „takie a takie”, zapewniał im odporność na rdzę, brud, i niszczący upływ czasu.

Już miałam zbierać się do powrotu, bo ileż można tak stać bez sensu, gdy zobaczyłam, że w moją stronę zmierza dziarsko młoda, rudo ubarwiona kwoka. Szła przez podwórze jak taran. Z

zadartym dziobem, szybko przebierając krótkimi łapkami. Zbliżyła się do mnie i rzekła:

– Jesteś tu nowa. Nie zapominaj o tym. To nasz kurnik. Będę nadzorować twoją pracę, więc musisz się starać.

Nie wiedziałam za bardzo, czy na takie słowa wypada coś odpowiadać, czy też należałoby karnie zasalutować i zakrzyknąć: Yes, Sir! Jak w amerykańskich filmach o ratowaniu świata przed kometą. Nie powiedziałam ani nie zrobiłam jednak nic.

Moja nadzorkzyni, odwróciła się na pięcie i odtuptała z powrotem, niknąc w czeluściach drewnianej szopy. Odczekałam krótką chwilę i powlekłam się za nią do kurnika, miejsca, które mi przeznaczono.

Kolejne dni nie tylko nie rokowały jaśniejszej przyszłości, lecz pogłębiały poczucie niedopasowania do istniejącej hierarchii społecznej. Hierarchia to kolejne słowo, które każdy, kto kiedykolwiek znajdzie się w kurniku, musi sobie dobrze zapamiętać.

Co bowiem jest najważniejszym, pierwszym i nienaruszalnym prawem determinującym życie kur? Kolejność dziobania. A ta jest absolutna, jak pomnik, trwalsza niż ze spiżu.

Marlena – młoda kwoka, która nadzorowała moje starania w kurniku, faktycznie była wymagająca. Moje pierwsze hasło reklamowe mające promować nasze gospodarstwo, a po nim każde kolejne, nie były w stanie sprostać jej wysokim standardom. Gdakała jak szalona, a tembr jej donośnego sopranu niósł się echem z kurnika aż przez podwórze, tak, że o tym, iż znów wszystko schrzaśniałam, a moje wypociny to jakieś gówno, wiedział cały inwentarz, a może i nawet sam gospodarz.

Dwoiłam się i troiłam, by wymyślić coś tak kreatywnego, że wszystkim kurom opadną dzioby. Jednak był to trud na wskroś daremny. Nie pomagały nawiązania do tekstów kultury, nie

pomagały podwójne znaczenia ani gry słowne. Słowem, nie pomagało nic. Gównem było gównem – i tyle.

Władczynią całego kurnika była Ola – również mieszkająca tam od zarania dziejów, nakrapiana w szare plamki, nioska o nienagannych manierach. Gdybym miała scharakteryzować jej styl dowodzenia, powiedziałabym coś jak: kontrolowany bezwład. Po prostu dawała nioskom i kwokom średniego szczebla swobodę działania, a później z pogodną aprobatą przyglądała się tylko, jak zaciekrzewione ptaki toczyły, każdego dnia od nowa, walkę o wpływy. A kury są, choć niewiele osób o tym wie, bardzo ambitne. Wywalczenie wyższego miejsca na grzędzie, przeskoczenie o oczko wyżej w kolejności dziobania czy też uprzejma, rzucona mimochodem uwaga gospodarza. To wszystko warte było tego, by dziobać się nawzajem, szczypać oraz stroszyć pióra aż do utraty tchu.

W umyśle Oli walczyły, jak na memie, dwa wilki. Jeden pragnął pozwalać na totalną implozję, drugi natomiast był szczegółowy do ostatnich granic i chciał mieć wszystko pod swoją jednowładną kontrolą. W stosunku tak do mnie, jak i do pozostałych szeregowych kur, ujawniał się niemal zawsze ten drugi wilk. Gdy to następowało, kura Ola była naprawdę nieustrudzona w prowadzeniu zaciekłych bojów o każdą, nawet najdrobniejszą kwestię. Czasem można było odnieść wrażenie, że im bardziej marginalna, nieistotna i zgoła błaha była sprawa, tym większe wzmożenie ją ogarniało. Pewnego dnia zavezwała mnie na swoją grzędę, co niemal zawsze było powodem do, jeśli nie niepokoju, to przynajmniej pewnego dyskomfortu psychicznego.

– Wiesz Amelia, rzuciłam okiem na twój ostatni tekst i muszę powiedzieć, że... – w tym momencie byłam już, słusznie zresztą, przekonana, iż oto paliło mi się pod tyłkiem – ...że mam pewne drobne uwagi.

Po wygłoszeniu tego zdania zawiesiła głos i patrzyła na mnie dobrą chwilę z dobrodusznym uśmiechem na dziobie.

– Co to jest za tytuł? „Tak jak cepem, tylko lepiej”. Jak to ma zachęcać rolników do zakupu naszej nowej wialni? Skoro już w tytule twierdzisz, że jest ona taka sama, co przestarzały cep?

– Ale... – podjęłam nieśmiało walkę, która jednak nie trwała długo.

– Winniśmy to zmienić. Mam, tak się składa, pewien pomysł: „Nie jak cepem, tylko lepiej”. Tak będzie pod każdym względem korzystniejszej. A i jeszcze, Amelia – rzuciła, gdy już ze zwieszonym łebkiem wycofywałam się w poczuciu klęski. – Po tytule brakowało kropki. Musisz być bardziej uważna.

Kura Ola, która chyba w życiu nie miała okazji czytać gazety, wiedziała lepiej. Zawsze. Zagotowałam się cała jak grochówka w garze na obozie harcerskim. Okazało się, że żadne normy, nawet takie, jak ogólnie obowiązujące zasady pisowni, nie miały mocy nad tą kwoką. Cudem zdawało się być, że nie zawiadywała także grawitacją, bo po zeskoczeniu z wysokiej grzędę spadłam, zgodnie z zasadą fizyki, na klepisko, a nie zawisłam pod powałą do góry nogami za swe wszystkie winy.

Nikt z kurą Olą nie dyskutował, bo i debata taka skazana byłaby z góry na klęskę. Rozmowa z nią była jak tłuczenie głową w betonową ścianę. A to jest dość męczący sport.

W naszym kurniczku bywało też nieraz wesoło. Kiedyś z impetem nawałnicy wpadła do nas mieszkająca w przylegającym gęśniku największa sekutnica, która trzęsła połową gospodarstwa. Barbara – spora, przysadzista gęś budziła strach tak wielki, że wraz z jej przybyciem struchleliśmy jak Izraelici przed starotestamentowym Bogiem. Gęsi zajmowały się u nas księgowością i czego jak czego, ale żartów z nimi nie było.

– Co za debil znów nasypał ziarna do poidła? Łapy z dupy powyrywam – wyrzuciła z siebie jak karabin.

– Wiadomo, że woda się wtedy psuje. Ale jasne, komuna, czy się

stoi czy się leży, jak nie moje to można niszczyć – kontynuowała a ja cieszyłam się w duchu, że w naszym kurniku nie było okien, gdyż od jej wrzasków z pewnością leciałyby z nich szyby.

Barbara darła się dalej wniebogłose, gdy nagle uruchomiła się Karola. Uruchomienie to było tyleż niespodziewane, co totalnie z czapy, jak to zwykle bywało w jej przypadku.

– Ja raz kiedyś ogórków kiszonych przyniosłam Eli z obórki, bo miała smaka. To ona mi potem kuper obrobiła do samego gospodarza. Tiu, tiu, tiu, a nóż w plecy! Dwadzieścia lat siedziałam na najniższej grzędzie! Nikt mnie w tym gospodarstwie nie szanuje!

Tego było nawet i dla Barbary za wiele. Gęś była spacyfikowana. Powiedziała tylko na odchodne, śmiejąc się:

– Jak namierzycie kto to był, postraszcie go mną. Gwarantuję, że podziała.

Rytm życia naszego kurnika wyznaczały kolejne następujące po sobie niczym pory roku kampanie reklamowe. Wiosną szła kampania chlewu, latem obory, jesienią zachwalaliśmy królikarnię, a zimą sami siebie, co nazywało się PR-em wewnętrznym kurnika. Równolegle, jak to zwykły gdakać kwoki nadzorczyni, ongoingowo (cały rok) toczyły się promocje Employer Brandingowe, czyli takie zachęcające kolejne zwierzęta do pracy w naszym gospodarstwie. I chyba przy tych ostatnich było mi najciężej pracować. Gnębiły mnie wyrzuty sumienia wobec wszystkich tych opierzonych, rogatych i kopytnych towarzyszy, którym gotowałam taki sam, jak mój własny, marny los.

Autorstwo: Ronja

Zdjęcie: [cicitony](#) (CC0)

Źródło: NowyObywatel.pl